

— Przyjdzie kolej i na Terenię, nie bój się, Haniu — mówiła Tola — Lenka dziś w usposobieniu zachwycania się nami, mówię nami, bo myślę, że i o mnie pamiętać będzie.

— Kiedy sobie żartujecie, to już nic nie powiem, chyba to jeszcze, że Terenia dziś nieznośna, siedzi, jak mruk, ani słowa jeszcze nie wymówiła.

— Bo myślę, że za tydzień opuścę Warszawę — powiedziała Terenia, która przez te dwa lata wyrosła na piękną bardzo panienkę. Na twarzy jej pozostał ten wyraz jakiegoś namyślenia i marzycielstwa, i dziwnej, pociągającej słodyczy i łagodności.

— Ja ciebie nie puszcę — zawołała Lenka — co ja bym robiła już teraz bez mojej drogiej Tereni.

— A jednak muszę jechać, Lenko, wujcio powiedział, że już dłużej pozostać tu nie możemy — odpowiedziała z widocznym smutkiem Terenia, choć nie chciała okazać tego. — Cieszę się, że jadę do naszego kochanego domku, że wyręczyć będę mogła babunię, ucząc młodsze siostrzyczki, cieszę się, że i mateczce pomocną będę, a jednak, tak chętnie uczyłabym się jeszcze — dodała cichszym głosem.

— Nauczycielką nie będziesz — rzekła Hanka — nie masz do tego wysokiego posłannictwa najmniejszego powołania, więc umiesz dosyć, tyle właśnie, ile ci potrzeba.

— Dla czego nie mogłaby być nauczycielką? — zapytała Tola — po czém poznajesz, Hanko, że Terenia nie ma powołania do nauczycielstwa?

— Po tém, moja droga, że Terenia lubi marzyć i bujać pod obłokami — odrzekła na w pół żartem Hanka — Terenia mogłaby tylko udzielać ulubionych sobie przedmiotów, ale nie potrafiłaby wykładać dobrze tego, do czego nie ma zamiowania.

— A jednak na pensyi uczyła się wszystkiego dobrze — mówiła znów Tola — była przecież pierwszą uczennicą.

— To zupełnie co innego — rzekła Hanka — uczyć się samego można wybornie, a mimo to nie umieć uczyć kogo innego.

— Hania widocznie nie chce mieć siostry nauczycielki — rzekła Lenka — czy masz jakie uprzedzenie do tego stanu?

— Uprzedzenie? — zapytała ze zdziwieniem Hanka, a po chwili dodała — tak, mam to uprzedzenie, że nauczycielka bez powołania nie odpowie nigdy podjętym obowiązkom, a nie spełniając godnie tego, do czego się obowiązujemy, pełniamy czyn niesumienny.

— Hania mówi zbyt poważnie — rzekła Lenka — z tém wszystkiém dobrze robi, że nie pozwala Tereni męczyć się nad nauką nieznośnych czasem dzieciaków.

— No proszę, jaka to doświadczona osoba — mówiła Tola — ręczę, że nie znasz wcale tych *nieznośnych dzieciaków*, jak się wyrażasz.

— Osobiście nie znam, to prawda, ale tyle się o nich na czytam i nasłucham czasem, że za żadne skarby świata nie chciałabym być nauczycielką.

— A ja nią jednak będę — rzekła Tola, ze smutnym trochę uśmiechem — i właśnie Hania, która tak przeciwną jest, by Terenia obrała sobie ten zawód, mnie prawie skłoniła do tego. O! gdyby mi kto powiedział przed dwoma laty coś podobnego, że ja dobrowolnie pójdę między ludzi, byłabym nigdy nie uwierzyła.

— Dla czego? — zapytała Lenka.

— Dlatego, że się wstydziłam mojej brzydkiej twarzy — moją naturą upośledziła — odpowiedziała Terenia, podnosząc na Lenkę piękne swe oczy.

— Czy masz być brzydką, Tolu? — zapytała ze zdziwieniem Lenka — o, nie mów tego.

— Hanka najpierw zawdzięczam to, że sobie nic nie robię kalectwa, a potem tobie, Lenko, i Tereni — rzekła z serdecznym głosem. — O! wy tego nie rozumiecie — jak wielkie wyświadczyłyście mi dobrodziejstwo waszą radą; gdyby nie wasze zacne, poczciwe serca, byłabym nie miała odwagi kończyć pensyi, byłam tak już zniechęcona, tak smutna, że prawie nie miałam odwagi pokazy-

wać się ludziom. Dziś widzę, że było to dzieciństwem z mojej strony, byłoby nawet śmiesznością zasadać swe szczęście na pięknej twarzyczce i zgrabnej figurce, a jednak czułam się bardzo biedną, widząc, jak każdy niemal przy pierwszym spotkaniu ze mną nie mógł zapanować nad niemiłym wrażeniem, jakie w nim wzbudzałam. Och, cierpiałam nieraz szalenie, serce moje rwało się do ludzi, a budziłam w nich tylko wstręt, zamiast uczucia, którego tak gorąco pragnęłam, a którego nie doznałabym może nigdy, gdyby nie ty, Hanko.

— Niema w tém tak wielkiej zasługi z mojej strony — odpowiedziała Hanka — kto cię bliżej pozna, Tolu, musi cię pokochać koniecznie; masz najlepszy dowód w tém, że piękna Flora jest twoją serdeczną przyjaciółką dzisiaj.

— I to twoja zasługa, Hanko — rzekła Tola — ty, przez Terenię potrafiłaś dokonać tej przemiany, że zawzięta moja prześladowczyni przestała pastwić się nademną.

— Mówmy lepiej o czém inném — rzekła Hanka. — Tola doprowadziła mnie do tego, że się zaczęło rumieniść, uwzięła się dziś na mnie. Powiedz mi lepiej, Lenko, kiedy uprosisz swęj mamusi, abyś nas mogła odwiedzić w Zabinie?

— Ach! nie mów ty ciągle o tym wyjeździe, Haniu — rzekła ze smutkiem Lenka — ja się wcale nie mogę pogodzić z tą myślą, żebyście już ze wszystkiém wyjechać od nas miały. Doprawdy, aż mi przykro, że Hania tak wesoło o tém mówi.

— Alboż pomoże co roztkliwiać się nad tém, co koniecznie stać się musi? — rzekła poważnie Hanka, — Czyż podobna, Lenko kochana, abyśmy życie całe spędzili razem? Wierzaj mi, że cię kocham bardzo serdecznie, że dla zacnych twych rodziców zachowam na zawsze wdzięczność, że jestem wam oddana duszą całą, ale ja nie jestem marzycielką, ja widzę przed sobą drogę pracy i obowiązku. Moja matka potrzebuje trochę wypocząć po tylu trudach, jakie dla nas ponosiła, więc cieszę się i raduję, że nadeszła ta chwila, w której mogę jej powiedzieć, że wszystko, co cięższe i trudniejsze, ja biorę na siebie.

— Dzielną z ciebie będzie pomocnica dla matki — rzekła pani Z., która od chwil kilku stała we drzwiach między firankami, a zajęte rozmową dziewczątka nie spozstrzegły, że był ktoś jeszcze obecny ich rozmowie — to dobrze, dziewczeczko, żeś gotowa do pracy, i że jej się nie lekasz.

(d. c. n.)

## Gawędy podsłuchane u niemnowej fali.

przez M...a.

PUSZCZYK.

Było to około roku 1241. Wichur gwałtowny szumił po słowiańskiej krainie, wyrwijąc dęby stuletnie w puszczech i roztrzając nisko sunące się ciemne chmury o szczyty drewnianego grodu, czepionego na urwistym i wyniosłym brzegu Niemna, tuż przy ujściu do niego rzeki Horodnicy. W drewnianém lecz obronném zamczysku, w głównej jego komnacie, przechadzał się szybkim, nierównym krokiem tam i napowrót młody, dzielny rycerz, Jerzy, syn Hleba, słowiański książę, pan i władca okolicznej krainy. Ruchy jego przyminały lwa w klatce. Nagle przystanął u wąskiego okna i kładąc dłoń na wzburzonej piersi:

— Cóż to mi jest?... — zapytał sam siebie — szarpie mnie jakiś niepokój, z którego sprawy sobie zdać nie umiem. Przecież nie stało mi się nic złego i nic podobnego się nie spodziewam, czemuż więc krew wrze we mnie i serce bije gwałtownie? A może to ta burza, szalejąca po świecie, taki wpływ na mnie wywiera? Wszystkie najsilniejsze nawet zwierzęta niespokojne są w czasie burzy, pewno i z człowiekiem bywa podobnie. Bo też straszliwa jest ta nawałnica, jakiej nie pamiętam jeszcze!...

W chwili, gdy książę Jerzy usiłował sobie tłómaczyć w ten sposób niepokój własnego ducha, zwolna pośród huku i szumu burzy podniósł się i wyróżnił przykry, jednostajny śpiew, jakim żebracy zwykli byli po wszystkie czasy zwracać na siebie uwagę, w celu wyjednania datku; pomimo trzęsącego się głosu i huku burzy, wyrazy dziadowskiej pieśni brzmiały wyraźnie, dochodząc uszu księcia Jerzego:

Przed stu laty, w wielką burzę,  
Spalił Grodno grom,  
Nie ostał się mur na murze,  
Kościoł ani dom...

Książę zadrzał, jak nie rycerz, albo jakby grom w niego uderzył istotnie, pod wrażeniem jęczącego śpiewu, ale w tejże chwili zabobonne jego wzruszenie zamieniło się w gniew:

— Hej, chłopcy! — krzyknął na sługi — wypędzić mi tego piszczącego włóczęgę za bramę!

Nagle a krótka wrzawa w przyległej izbie zawiadomiła księcia, że słudzy pobiegli spełnić jego rozkazy, ale tymczasem dziad śpiewał dalej:

— W sto lat potem w wielką burzę  
Spali Grodno grom,  
Ponad Niemnem będzie w górze  
Sterczeć zgliszcza złom!

— Chwytać mi, łapać tego łotra! — zakrzyczał książę, nie posiadając się z gniewu, i rzucił się sam ku drzwiom, bo złowieszcze pieśni wyrazy dziwnie podburzyły jego niepokój. Istotnie, wedle tradycji, miasto Grodno miało być roku 1128 spalone od piorunu. Ale coby znaczyła zła przepowiednia, zawarta w drugiej strofice pieśni, to trudniejszym było do odgadnienia. Zdawało się prawie, jakby dziad śpiewający dosłyszał niegościnnie księcia rozkazy i pomścił się na nim ową przepowiednią:

— Panie! niema nigdzie dziada! — powiedzieli słudzy, stając przed zagniewanym księciem.

— Jakto niema! czy nie słyszeliście jęczenia tego przekłętą puszczyka! — krzyknął pan i biegł z dworca w stronę owego głosu, a słudzy biegli za nim, wtém znów, jakby w odpowiedzi na jego słowa, nagle wśród chwilowo umilkłej burzy rozległ się w przeciwniej stronie zabudowań kilkakrotnie smutny głos puszczyka... Ludzie stanęli jak wryci, groza ogarnęła ciemne umysły, bo wówczas już puszczyk miał swą złą sławę, do dzisiaj trwającą. Jeden książę tylko rzucił się naprzód w stronę, z której głos dochodził, bo błysnęła mu myśl, że głos ten niekoniecznie ptak mógł wydawać, a złowieszczy śpiewak jeden i drugi mogli mieć łączność ze sobą. Mimo najściślejszych poszukiwań, nie znaleziono dziada żadnego w obrębie zamku. Jerzemu zapóźno przyszło do myśli, że dziad śpiewak miał czas uciec, gdy ścigający rzucili się za mniemanym puszczykiem. Słudzy spoglądali na siebie wystraszeni, lecz i zdziwieni zarazem, nie pojmując, poco książę gonił za złowieszczym ptakiem. Tymczasem rozkazy krzyżowały się gwałtownie wśród warownego zamczyska, bo myśl szpiegowstwa lub zdrady błysnęła znów w umyśle doświadczonego księcia.

Istotnie, tak pojawienie się dziada śpiewaka, jak i zniknięcie jego w pilnie strzeżonym zamku, nie dawało się inaczej wytłómaczyć. A jednakże, gdyby zamiast biedz za podejrzanym śpiewakiem, książę Jerzy pozostał był na miejscu, jak stał, u okna, byłby łatwo ujrzał wyjaśnienie zagadki, tak jak ujrzała ją księżna Marya, przybiegłszy do tegoż samego okna na księcia okrzyki. Z pod okna wyszedł człowiek, zaledwo odziany szcztami podartego ubrania, ze zreżnością kota, ale bez pośpiechu wdrapał się na drzewo, stojące w pobliżu, po jego gałęziach, gnących się pod tym ciężarem, dostał się na drugie podobne, i w ten sposób wydostawszy się na wał obronny zamczyska, skoczył zeń prosto w niemnowe fale, wołając głosem puszczyka i machając rękami, jakby ptaka udawał. Nikt go nie widział, bo właśnie ten punkt strzeżonym nie był z powodu, że niedostępność sa-

ma stromego urwiska zabezpieczała je dostatecznie. Cała ta zresztą napowietrzna droga była tak niebezpieczną, że mógł ję próbować chyba szaleniec.

Księżna Marya długo stała nieruchoma, z oczami wlepionymi w miejsce, z którego znikło owo dziwne zjawisko. I ją zaczęła teraz przejmować trwoga daleko wyraźniejsza, niż wzruszenie księcia Jerzego, o którym on sam już zapomniał, zajmawszy się gwałtownie obostrzeniem i tak już pilnego strażowania na grodzie. Ze wszystkich poprzednich uczuć i obaw pozostało księciu już tylko przekonanie, że trzeba się mieć na baczności szczególniejszej. Jak wicher więc pojawiał się na wszystkich punktach grodu, wzmacniając strażę i potęgując środki obrony, gdy szum niby wzbierających fal niemnowych zawrzał w oddali o wschodzie słońca. Był to głos rozpaczliwej i grozy, wydawany przez wszelkie żywe istoty, uciekające prosto przed siebie od południo-wschodu, przed pędzącą za nimi burzą dzikich gwałtów, jęków i wrzasków, z górującym nad wszystkiem okrzykiem: Ała! Ała! To jeden z wodzów straszliwego Batu-Chana, wnuka Dżengis-Chana, zapuścił się aż tutaj z ordą dzikich swych Mongołów.

Ale zamek księcia Jerzego, *Grodno* lub *Horod* zwany przez Słowian, a *Garten* lub *Gartena* nazywany przez Krzyżaków, był potężnie i umiejętnie przygotowanym na przyjęcie straszliwych wrogów. Doskonałość przygotowań obrony nie znaczyła jednak wcale, aby miano nadzieję obronić się. Przeciwnie, zaledwie o brzasku dnia spojrzawszy z wieżycy zamkowej na bezmierne tłumy nieprzyjaciół, zapewniających okolice, jak oko zasięgało, książę Jerzy od razu zrozumiał przecucia swoje w czasie burzy: było to poprostu przecucie zbliżającej się uroczystej ostatniej godziny, jakie częstokroć ludzie miewają. Rozpoczęła się walka zjadła i zażarta, i trwała nocą i dniem, dopóki ostatni z obrońców Grodna, licząc w to księżnę Maryą, nie wyzionął ducha pod przemocą liczby nieprzyjaciół. Wtedy zamek zdobyty zrabowali i zburzyli Tatarzy.

Gdy następnie mongolski ten wylew zwyczajem swoim cofnął się do swego źródła, samotne zgliszcza Grodna, czarne i milczące, pozostały na wyniosłym brzegu Niemna, niby zburzony grobowiec, sterczący nad spustoszoną okolicą-cmentarzem. Taką ujrzał ją pewnego dnia nad wieczorem liczny poczet obcych wojowników, przybywających w te strony od południa, wolno, zbrojno, konno i z wozami. Trzej pierwsi jadący przy sobie rozmawiali tak żywo, że nie zważali na miejscowość:

— Jakto! nie jestże to zgroza — wołał jeden — ten mądry Mindowe, ten nasz stryj, jestto rozbójnik gorszy od Mongoła! Jakto! czyliż to nie ojciec nasz właśnie, dzielny Montwiłł zdobył ten Nowogródek, w którym Mindowe teraz panuje, a nam nawet własne nasze po ojcu ziemie zabrawszy, każe szukać sobie innych siedlisk! Czyż oszalał!

— Gdzietam oszalał, bracie Erdziwile — odpowie drugi młodzian — przeciwnie, Mindowe wcale nie po szalonym, lecz mądrze własne sprawy urządza. Zagarnął on już tyle ziemi i władzy, i tak umie ją utrzymać nad równymi mu niegdyś książętami, że stał się potężnym i bezkarnie może wydzierać ojcowiznę synom rodzonego brata. A wierzcie mi, i ty i Wikind, że nie pozostaje nam nic innego, jak tylko uczynić to, co nam radził, to jest zdobyć sobie nowe siedziby.

— Tak, ponieważ nie możemy zrobić nic innego — zawołał trzeci wojownik imieniem Towciwiłł — a! niechno rzy tylko porośniemy w pierze, a przysięgam, że c... ja pierwszy temu kochanemu stryjowi i pomszczę wszystko, i za tę łaskawą pomoc w dodatku, jaką nam ofiarował jak na drwiny do zdobycia sobie siedzib nowych, gdy stare i własne nasze nam zabrał! Ja mu się odwzięczę!

— No, że my ci w tém odwzięczeniu dopomożemy i pomścimy się, jeśli tylko będziemy mogli, tego bądź pewien! — zapewnili Erdziwile i Wikind.

Wtém, jakby w odpowiedzi na to zapewnienie, żaloszny głos puszczyka rozległ się w pobliżu. Zadrżeli trzej bracia, synowie księcia Montwiłła, jednego z licznych książąt litewskich, wygnani ze swj ojcowizny przez Mendolia, (Mindowe)

który umiał wzrastać w potęgę, jednocząc w swych rękę rozdrobnione dotąd między krewnymi siły i władzę. Trzej książęta wstrzymali konie, oglądając się niespokojnie na ten głos zwiastuna nieszczęścia, wedle zabobonu. I dopiero też wtedy ujrzeli otaczające ich spustoszenie i zgłiszcza na wyżynie nadniemeńskiej przy ujściu Horodnicy.

dartego odzienia, która zbliżając się ku wojownikom, śpiewała zwolna:

Przed stu laty w wielką burzę  
Spalił Grodno grom,  
Nie ostał się mur na murze,  
Kościół, ani dom.



Turkomani str. 30.

— Ho ho!... cóż to za jęk szkaradny? i gdzieśny tutaj zajechali? — rzekł Wikind niechętnie.

— I jęczy tu coś obrzydliwie — dodał Towciwił.

— Jakieś zgłiszcza... jakaś tędy ciężka bieda przeszła...

— mówili wojacy w orszaku, kiwając smutno głowami. A wtém rozległ się jęczący śpiew, mocno do głosu puszczyka podobny, i z pośród zwalisk na wzgórzu nadniemnowém ukazała się dziwna postać ludzka, zaledwo okryta szczytami po-

W sto lat później w wielką burzę  
Zburzył Grodno grom,  
Ponad Niemnem sterczy w górze  
Czarny zgłiszcza złom...

— Ach! — rzekł ktoś w szeregach — to jest pewno ten obłąkany chrześcijanin nieszczęśliwy, który całą litewską ziemię przebiega tuż przed nadchodzącą nawałą tatarską,

i ostrzega każdy gród o idącym nań niebezpieczeństwie, a potem modli się za poległych na zgłiszczach... odzywając się przytém głosem puszczyka.

— Co? co?... jaki obłąkany? — pytali błędni książęta, patrząc na zbliżającego się nieszczęśliwego, który w istocie odzywał się znowu, jak puszczyk, machając przytém rękami przy schodzeniu ze wzgórza, jakby na skrzydłach zlatiał. I odpowiedziano w gromadzie wojowników książęcych:

— Powiadają ludzie, że jest to chrześcijanin, któremu tatarzy zaraz przy pierwszém zetknięciu się z chrześcijaństwem, napadłszy z nienacka, wymordowali całą rodzinę i jego samego porzucili jako zabitego na zgłiszczach. Wróciwszy do życia, lecz straciwszy rozum z bólesci, trawi on teraz resztę życia na tém, że dziwnymi sposobami wypatrując zamysły Tatarów, bieży przed nimi, gdy tylko ruszą na wyprawę, i ostrzega o ich najściu ludzi zagrożonych, aby mogli bronić się lub ratować: biedak, wyobraża sobie podobno, że jest puszczykiem.

— A więc te zgłiszczka, to jest zburzone przez Mongołów stare Grodno księcia Jerzego! — mówili książęta — a ten nieszczęśliwy obłąkany opowiada po swojemu historią Grodna tego. Dla czegoż jego ostrzeżenie nie pomogło nic księciu Jerzemu?...

— Owszem, pomogło! — zawołał książę Erdziwił — kto wie, czy bez tego ostrzeżenia księcia Jerzy byłby przygotował do Grodna do tak dzielnej obrony i czy mógłby bronić się w niem tak długo i sławnie, jak to uczynił. A że padł nareszcie pod przemocą, to już trudno... Ja sam nie pragnę innego końca dla siebie, i dla tego... poprobuję osiedlić się w tych sławnych zgłiszczach. Nie wiem czego bym lepszego po świecie miał szukać, zwłaszcza, że ta spustoszona ziemia czeka podobno na właściciela.

I tak mówiąc, książę Erdziwił utkwiał długi swój miecz, na Krzyżakach zdobyty, w ziemię wśród zgłiszczy na wzgórzu, biorąc ją tym znakiem w posiadanie wedle zwyczaju. Słudzy natychmiast zajęli się przygotowaniem uczty, bracia książęta mówili:

— Miejsce tu może być obronne, może i dobre, że się tu osiedlisz, my pójdziemy dalej szukać sobie gniazda, tylko to niedobrze, że cię przyjął w tém miejscu głos puszczyka... — i mówiąc tak, patrzano za owym obłąkanym, który pomodliwszy się, zniknął już w oddali, odchodząc na inną zgłiszczka.

— Ej, to nic — ozwał się jeden z wojowników — uważajcie, książęta, że głos tego puszczyka ozwał się w chwili, gdy zaprzysięgaliście pomstę stryjowi waszemu... Odrzućcie te myśli pomsty i osiedlajcie się tu spokojnie, bo ~~zapiszcie~~ wróżba do nich się tylko stosowała...

Książęta spojrzeli po sobie, a Erdziwił zawołał:

— Milcz, ty ptaku złej rady, bo miarkuję po niej, że sięga wiernym mego stryja a naszym wrogiem jesteś. Jutro o świcie uderzę pierwszy siekierą, rozpoczynając budowę mego zamku na tych gruzach, a tu w tém miejscu, gdzie miecz mój sterczy, wymuruję stołp (wieżę warowną), a gdy poznam się z ludem tutejszym i z sąsiadami, tedy pogadamy z bratem naszego ojca.

Nazajutrz rozpoczęto w istocie budowę, spoglądając podejrzliwie na mniemanego stronnika Mendogowego, który w gruncie był jednak tylko chrześcijaninem tajemnym, jakich nie brakło już wówczas nawet w pogańskiej Litwie. Grodno stanęło silniejsze niż kiedykolwiek, ale już roku 1284 leżało znowu w gruzach po strasliwym szturmie i zdobyciu go przez krzyżackiego mistrza, Konrada Thierberga. Złowieszcze przepowiednie puszczyka sprawdziły się... ponieważ książęta litewscy w mściwych ze stryjem zapasach osłabiali się wzajemnie, sami niejednokrotnie wzywając pomocy krzyżackiej jedni przeciwko drugim.

Plemiona Turkomanów, zamieszkujące krainę azyatycką, Turkestanem zwaną, należą do tegoż samego szczepu, z którego wyszli Turcy, wyznają też religią mahometańską. Lecz gdy zaborcze hordy mużulmanów szybko posuwały się coraz dalej i wkroczyły aż do Europy, plemiona te pozostały w pierwotnej swj siedzibie i nie zmieniły prawie sposobu życia. Wielce podobni do Beduinów, Turkomani miłują nadewszy stko swoje konie i wiodą życie koczownicze.

## List do przyjaciółki.

Kochana Helciu!

Po dwuletniej blisko przerwie w naszej korespondencji, a nie wiem nawet z jakiego powodu nastąpiła ta przerwa, odbieram wczoraj twój liścik, który przyznam ci się, bardzo mię ucieszył i zadziwił zarazem, zadziwił dla tego, że się już nie spodziewała, abyś o mnie pamiętała jeszcze, ucieszył niezmiernie, bo cię zawsze bardzo kochałam i Kocham. Jako więc dawna a zawsze serdeczna przyjaciółka, pozwolę sobie zwrócić uwagę twoją na jeden ustęp z tego listu, zawierający opis zabawy u Państwa K., na której ty będąc w smutnym usposobieniu zakłóciłaś wesołość powszechną, i dla gospodyni domu byłaś zapewne powodem przykrości.

Jak wiesz, Kochana Helenko, jest bardzo dobre przysłowie „kiedy wejdiesz między wrony, to tak krakaj jak i ony”, nie pojmuję zresztą, byś mając słuszny powód do smutku, mogła się wybierać na wieczór tańczący, zmartwienie twoje zatem musiało być urojone, a w takim razie nieprzyjemne jego następstwa w domu powinny były pozostać... Gdy kto ma prawdziwy powód do smutku, nie może mieć humoru, to rzecz bardzo naturalna, lecz w takim usposobieniu ducha lepiej wcale nie wychodzić z domu, niż smutkiem swym psuć komu zabawę; znalazłszy się bowiem w towarzystwie wesołym, trzeba koniecznie do niego się zastosować, aby się nie odróżniać od innych, i nie ściągać na siebie uwagi.

Jedna tylko okoliczność uwalnia nas od tego, że się tak wyrażę towarzyskiego obowiązku, a mianowicie, gdy zebrane osoby biorą za przedmiot rozmowy ogadywanie i wytykanie błędów ludzkich, złośliwe naruszanie sławy bliźniego; wtedy możesz dać uczuć, że ten rodzaj zabawy nie przypada ci do smaku, możesz całkiem milczeć, lub wprost wyjawić swoje zdanie, że przedmiot rozmowy uważasz co najmniej za niewłaściwy. Powinnaś nadto, słysząc wyśmiewanie błędów znajomych ci osób, o których niewinności jesteś przekonana, gorąco ich bronić od niesłusznych pocisków złośliwości ludzkiej.

Mama nadzieję, Kochana Helenko, że się nie obrazisz za to nieczesne kazanie, które nieproszona zamieszczam w tym liście, ale moja mania gderania zrodziła się w skutek tego, że mam najstarszą z rodzeństwa, że jako taka, często w nieobecności mamy czuję się w obowiązku napominać młodsze dzieci, a ty stałam się po trochu sensatką. Na zakończenie mego poważnego, a zatem nudnego zapewne listu, przytoczę ci jeden przykład z prawdziwego zdarzenia, który mi mama opowiadała.

Mama moja wyjechała na kuracyą w piękne okolice Czech, w miłob, polskiem towarzystwie, dnia całe przepędzała na miłobłach, i przejażdżkach; wszyscy zawsze byli w wyśmienitych humorach, bo najpierw jest to nieodzowny warunek dobrej kuracyi, a wreszcie cudna okolica, i zdrowe powietrze przyczyniło się wiele do tego. Lecz że nic nie jest bez ale, więc i w tój wesołóm, i tak szczęśliwie dobraném gronie znalazła się jedna istota, która swym gorzkim a raczej zgryźliwym usposobieniem zakłócała tę miłą harmoniją

wszystko jój było złe, sprzeciwiała się w najmniejszej rzeczy i odradzała przejażdżki, nie mogąc sama w nich brać udziału; wybredzała w doskonałym jedzeniu, rozrzucając wszystko po talerzu, co nawiasem mówiąc, jest dla obecnych wstrętne i odbiera apetyt. Słowem, w krótkim bardzo czasie wszystkich odstręczyła od siebie, zaczęła jój unikać, nie zważając na skargi, w końcu też wyjechać była zmuszoną, jak łatwo się domyśleć, nie zostawiwszy po sobie żalu, lecz owszem, pewne niemiłe wspomnienia.

Możesz więc z tego sądzić, kochana Helenko, jak nieprzyjemną jest w towarzystwie osoba, która mu spokój i wesołość odbiera, i jak przykrém jest dla téj osoby widzieć się nie lubioną z tego jedynie powodu, że nie ma ochoty zadać sobie tyle trudu, aby się zastosować do innych.

Wiem, kochana Helenko, że mi nie weźmiesz za złe moje go pełnego moralów listu, gdyż znam twoje poczciwe serduszko, i przekonana jestem, iż zamiast obrazić się na mnie, przyjmiesz moje przestrogi i zechcesz się do nich zastosować.

Całuję cię serdecznie, i proszę, by na nowo związane stosunki listowne już się nie zrywały.

Twoja przyjaciółka

Janina W.

## ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez **Mayne-Reid'a.**

(Dalszy ciąg).

— Do stu bomb i kartaczy! — wołał nadbiegając — a tu co się dzieje? Ośmiu przeciw trzem! To walka wcale nierówna! Ned Ganey nie może na to patrzeć z założeniami rękami. Niech żyje mniejszość! Staję po jój stronie!

I młody Amerykanin stanął w postawie wyzywającej, ze złożonymi pięściami, po lewej stronie Henryka Chestera. Nowa ta pomoc niemiłe wrażenie wywarła na napastników, pomimo przemagającej ich siły. Dzielną postawą Henryka i jego sąsiada, dziki wyraz twarzy Elepari'ego, nawet zuchwała mina Orundelika, wszystko to ugasiło znacznie ich zapał, „szczury portowe” miały już widocznie ochotę dać drapaka. Byłoby może i przyszło do tego, gdy Elepari, którego dotąd powstrzymywała młoda dziewczyna, odtrącił ją nagle i wyciągając długie, jak u ogromnej małpy, ramiona, przyskoczył do chłopaka, który obalił był na ziemię Orundelika i schwytał go oburącz. W jednym mgnieniu oka, prędej daleko, niż to opowiedzieć możemy, podniósł go wysoko w powietrze i rzucił nim, jak piłką, o bruk, tak, że aż wszystkie kości mu zatrzęszały. Kara zdawała się aż nadto dostateczną i grozą przejęła całą hultajską bandę, lecz nie zaspokoila strasznej złości Elepari'ego. Chwytał on szybko ogromny kamień brukowy i podniósłszy go w górę, chciał roztrzaskać nim głowę powalonego przeciwnika.

Henryk Chester nadbiegł w samą porę, i powstrzymał jego ramię, lecz zawzięty Elepari uparcie usiłował dokonać swój zemsty, pomimo perswazyi obu młodzieńców; byłoby mu się w końcu zapewne udało, gdy wtém nadszedł oficer marynarki i bez ceremonii chwytając małego człowieczka za kołnier, odciągnął go na bok.

— Co to znaczy? — zapytał nowoprzybyły, który miał na sobie mundur kapitana okrętu wojennego. — Co wy tu robicie, Orundeliko, i ty, Fuegio?... Ładnie się sprawiasz, Elepari! Czemu nie siedzicie spokojnie na okręcie, jak przykazałem? Wracajcież mi zaraz i nie ważcie się wychodzić z waszych kajut.

Korzystając z téj przerwy, „szczury portowe” porozbiegały się na wszystkie strony. Duży drałgal, obalony na ziemię,

zerwał się także i wziął nogi za pas jeden z pierwszych. Elepari i Orundeliko z głowami spuszczoneymi usłuchali rozkazu, dziewczyna zaś, której oni dawali imię Okaszlu, a którą kapitan nazwał Fuegią, szybko pobiegła do dwóch młodzieńców, Henryka i Neda, uklękła przed nimi i chwytając ich ręce, zanim mogli temu przeskodzić, ucałowała je z uczuciem gorącej wdzięczności. Potém zerwała się, jakby zawstydzona własną śmiałością i pośpieszyła za towarzyszymi.

Gdy pozostali sami z kapitanem, Henryk i Ned wyjaśnili mu całą sprawę. Wysłuchawszy opowiadania, kapitan podziękował obu młodzieńcom, że tak dzielnie stanęli w obronie tych ludzi, których był opiekunem, jak mówił, i nie tłómacząc się jaśniej w tym przedmiocie, pożegnał ich i odszedł dalej.

— Nie dali się panu wyspać, nieprawdaż? — rzekł młody Amerykanin, zwracając się z uśmiechem do Henryka.

— Zkądże pan wie, że ja spałem? — odrzekł tamten cokolwiek zdziwiony.

— Zkąd wiem? widziałem to przecież na własne oczy. Siedziałem sobie na szczycie wielkiego masztu, a widok ztamtąd jest bardzo rozległy i widziałem wszystko, coś pan robił. Wszedłeś najpierw do składu gotowych ubiorów, przebrałeś się od stóp do głowy, usiadłeś tam i zdrzemnąłeś się troszeczkę, a wnet potém rzuciłeś się w wir walczących. Gdym to obaczył, nie mogłem wytrzymać, ześliznąłem się z masztu, z pomostu skoczyłem na deskę, z deski na brzeg i dalej już wiadomo! A teraz przejdźmy do czego innego. Dzielnym z pana towarzysz. Kapitan naszego okrętu już powrócił, jest to mój ojciec. Chodź pan teraz ze mną, ja cię sam przedstawię i możesz pan być spokojny, znajdzie się miejsce dla ciebie na Kalypsie.

Jak rzekł, tak uczynił i w pięć minut po téj rozmowie Henryk Chester wchodził do salonu kapitana Ganey'a, przedstawiony według wszelkich praw etykiety przez jego syna. Kapitan Ganey posiadał wszystkie cechy charakterystyczne rodowitego Yankesa. Wysoki, szczupły, kościsty, oczy miał niebieskie, cerę rumianą, włosy jasne z odcieniem rudawym i śpiczastą bródkę, do małej miotełki podobną. W chwili, gdy syn jego wprowadzał do salonu nowego swego przyjaciela, kapitan siedział w dużym fotelu na biegunach, z nogami założonemi na stół, według wytwornego narodowego obyczaju; trzymał w ręku dziennik i pykał z długiej fajki, odczytując najświeższe wiadomości.

— Ojcie — rzekł Ned — mam zaszczyt przedstawić ci mego przyjaciela, pana Henryka Chestera, który życzy sobie zaciągnąć się do załogi twojego statku, jeśli raczysz się na to zgodzić.

Kapitan Ganey odłożył dziennik na stronę, zmierzył przybysza od stóp do głowy i zapytał:

— Czy służyłeś już na okręcie?

— Nie, kapitanie.

— Czy jesteś synem żeglarza?

— Nie, kapitanie.

— Czy umiesz chodzić koło rudla, lub masz jakiegokolwiek wyobrażenie o rzemiośle marynarskiem?

— Nie, kapitanie.

— Czy potrafisz przynajmniej ściągnąć żagiel?

— Nie mam o tém wyobrażenia, kapitanie.

— Czy włąziłeś kiedy na maszt?

— Dotychczas nigdy, kapitanie.

— A czy cierpisz na morską chorobę?

— Nie wiem, kapitanie.

— Do licha! — zawołał Yankes, który z najpoważniejszą w świecie miną prowadził całą tę rozmowę — nie wiem, jaki tam z ciebie będzie majtek, ale na zdolnościach ci nie zbywa, to pewna... No, a czy potrafiłbyś przynajmniej pomyć półmiski cynowe i wyszorować podłogę? — zapytał znowu po chwili milczenia.

— Nigdy jeszcze nie robiłem nic podobnego, sądzę jednak, że wprawiłbym się łatwo i wywiązałbym się z tego nie gorzej od innych — odpowiedział Henryk skromnie.

S Z A R A D A.

Drugie pierwsze — trzecie  
Trzecie pierwsze — wicie.

Łamigłówka zgłoskowa.

(Zuzulka z nad Tykicza),

. a .  
. a . a .  
. a . a . a .  
. a . a .  
. a .

Zastąpić kropki literami, aby utworzyć wyrazy: 1. Roślina. 2. Ryba. 3. Przyładek w południowej Europie. 4. Zwierzę domowe. 5. Roślina.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

Prozy i poezji:

Ej! lepiej być trawką w wiośnie,  
Pieszczotą motyli,  
Niżli kłosem, gdy wyrosnie,  
Ocieżeje i żałośnie  
Ku ziemi się schyli.

Lepsza młodość i śmiech skory,  
Choć niemasz w nim treści,  
Niż późniejszej wieku pory  
Mądre, suche rozmowy  
Z westchnieniem boleści.

Krzyża z podstawą:

K  
O  
N  
P L I S Z K A  
T  
A  
N  
T  
Y  
N  
K O S  
K O P E R  
P O L O N E Z  
C I E R P L I W O Ś Ć

(d. c. n.)

— Dobrze i to — rzekł kapitan Ganey z westchnieniem — Nedzie, zaprowadź nowego ucznia okrętowego do kucharza i powiedz, ażeby go zastawił do skrobania kartofli; jutro mi doniesie, jak się sprawił.

Henryk Chester poszedł w milczeniu za swym przewodnikiem, który z trudnością się powstrzymywał od śmiechu; dostał się po chwili do kuchni okrętowej, gdzie gospodarzył okazały murzyn.

— Może to taka próba — mówił sobie w duchu — może on chce się przekonać tym sposobem, czy potrafię się nagiąć do karności służbowej.

Zresztą młodzieniec nasz powiedział sobie, że i taką robotę musiał ktoś przecieź wziąć na siebie, słusznie też używano do niej tych, którzy nic innego zrobić nie umieli. Starał się więc dopełnić jaknajstaranniej obowiązków, które mu wyznaczono; nie było to jednak skrobanie kartofli, gdyż czynność ta dnia tego już była załatwiona; kazano mu pomyć półmiski, a następnie zanieść je, naładowane jadłem, na stół, przy którym obiadowała starszyzna okrętowa.

Pierwsza wędrowka przez te wysokie progi tak mu się nie powiodła, że potknął się, upadł, jak długi, a sztuka mięsa wyleciała z półmiska na podłogę. Wypadek ten prawdziwą burzę ściągnął na jego głowę, panowie starszyzna uraczyli go takimi komplementami, których tu w żaden sposób powtórzyć dosłownie nie możemy. Jeden z członków szanownego zgromadzenia, nazwiskiem Lyons, wyraził nawet zdanie, że wartoby tego niezgrabiasza razem z półmiskiem i sztuką mięsa wrzucić na samo dno morza. Majster cieśla, stary wilk morski, zwany Seagriff, oświadczył krótko i węzłowato, że jeżeli nowy chłopak okrętowy nie nauczy się chodzić, jak należy, po deskach okrętowych, to on bierze na siebie wyuczyć go winić.

Za powrotem do kuchni nowa przygoda. Gdy przyszły nasz admirał postępował ostrożnie, dźwigając ogromny stos talerzy, ujrzał nagle przed sobą wdzięczną postać młodej dziewczeczki, którą już raz był spostrzegł z daleka na pomoście amerykańskiego statku. Była to siostrzyczka Neda, Madzia Ganey. Niepoczciwy ten Ned wyznał nawet Henrykowi, ale daleko później, że spotkanie to nie było wcale przypadkowe; on to sam bowiem wyprawił siostrę umyślnie w tę stronę, aby mogła obejrzeć nowego ucznia okrętowego w całej jego chwale.

Biedny nasz Henryk tak się uczył upokorzonym w tej chwili, że byłby się chętnie skrył pod ziemię, lub w głąb morza. To też niezbyt różowe myśli snuły mu się po głowie, gdy o dziewiątej wieczorem ułożył się wreszcie do snu w tym okrętowym hamaku, o którym marzył z takim upragnieniem. Być pomocnikiem kucharza murzyna, nosić na stół półmiski, czyliż dla takiego losu opuścił ognisko domowe, stał się nieposłusznym woli rodzicielskiej, poświęcił wszystkie słodcze spokojnego życia?... Serce jego wezbrało goryczą, wyrzucił sobie własną nierozwagę, lży gorące, które w dzień biały potrafiły być powstrzymać, teraz wśród cieniów nocy popłynęły strumieniem z jego oczu.

W końcu znużenie przemogło, usnął, ukołysany przez fale, igrające z okrętem silnie umocowanym na potężnych swych kotwicach.

TREŚĆ: Zwaliska zamku łuckiego (z drzew.). — Piosnka druciarza przez Helenę Bojarską, — Prawdziwe bogactwo, powieść przez autorkę Reginki (c. d.). — Gawędy podsłuchane u niemnowej fali przez M—a. — Turkomani (z drzew.). — List do przyjaciółki. — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez Mayne-Reid'a (c. d.). — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Bańki z mydła (z drzew.). — Mama wszystko umie przez Gabryelę Puzyninę. — Michałek, sprawca wypadku. — Przygody nieposłusznej Adelci, tłumaczyła z angielskiego L. T. — Łamigłówka i rozwiązanie. Skrzynka do listów i Ogłoszenia. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach, z francuskiego.

## Bańki z mydła.

Andzia była jedynaczką, a taki to już dziwny zwyczaj jest na świecie, że jedynaczki zawsze są troszeczkę pieśczone. Andzia miała już pięć lat, a nie umiała pobać się sama, zawsze piastunka Magdusia musiała ją za-

dnych zabawek, a mama, i tatka, i babcia, i dziadunio, ciągle nowe kupowali.

— Ja się nudzę, zabaw mnie, Magdusiu — wołała nieraz nasza Andzia, a Magdusia musiała ją bawić różnemi sposobami, jak malutkie dziecko.

Jeżeli dostała nową jaką zabawkę, to przez jeden dzień przynajmniej nie nudziła się, oglądała ją na wszyst-



Bańki z mydła.

bawiać. Inne dziewczynki w wieku Andzi pewnieby się śmiały, żeby zobaczyły, jak to było przy tej zabawie.

— Magdusiu, ustawiaj gospodarstwo — mówiła mała pieśczoneczka — Magdusiu, ubierz laleczkę w tę różową sukienkę. Magdusiu, zrób balik.

I Magdusia rozstawiała na stoliku małe filiżaneczki i miseczki, nakładała w nie rozynek i różnych przysmaczków, potem rozbierała i ubierała lalkę, a Andzia siedziała, jak wielka pani, na kanapce, i patrzyła na to. Wszystko jej się przykrzyło, choć miała mnóstwo ła-

kie strony i nie dokuczała tak swojej piastunce. Ale na-  
zajutrz najpiękniejsza zabawka już jej się uprzykrzyła i znowu biedna Magdusia nie mogła sobie dać rady z rozgrymaszoną dziewczynką.

Pewnego dnia przyjechała ze wsi ciocia i zdziwiła się bardzo, gdy zobaczyła dziwactwa Andzi. Raz ciocia wzięła z sobą Andzię na przechadzkę, powracając, przechodziły obok izdebki stróża. Drzwi były odemknięte, widać było ogień rozpalony, a przy ogniu stał garnek, pewnie jakieś jedzenie się w nim gotowało. Na progu

siedziała mała Kasia, córeczka stróża i puszczała bańki z mydła.

Andzia miała mnóstwo kosztownych zabawek, ale baniek z mydła nigdy jeszcze nie widziała. Magdusi nie przyszło jakoś na myśl zabawić ją taką prostą rzeczą. Nowość zawsze każdemu się podoba, to też Andzia stanęła i ciekawie przypatrywać się zaczęła i rozpytywać cioci, co to Kasia robi?

— Chodźmy do pokoju — rzekła ciocia — a ja ci za raz pokażę, co to takiego i jak to się robi.

Gdy przyszedł do pokoju i zdjęty okrycia i kapelusze, ciocia wzięła miseczkę, rozpuściła w niej trochę mydła, poprosiła służącą, żeby przyniosła parę grubych słomek i wydmuchała śliczną, ogromną bańkę. Potem podała słomkę Andzi i powiedziała:

— A teraz ty sama poprobuuj.

Andzia popróbowowała, z początku jej się nie udało ale ciocia powtarzała:

— Poprobuuj jeszcze, pomaleńku, ostrożnie, ot tak!

Aż w końcu dziewczynka wydmuchała malutką bańeczkę, potem większą, jeszcze większą, taką ogromną że aż wykrzyknęła z radości i bańka pękła.

— Ja zawołam Magdusi, żeby dmuchała — rzekła nareszcie Andzia, bo już tak była przyzwyczajona, że przy każdej zabawie Magdusia musiała jej pomagać.

— A sama to nie potrafisz? — mówiła ciocia — raz ci się tylko udało, już drugi raz nie umiesz takiej łatwej rzeczy zrobić. Kasia jednak wcale nie starsza od ciebie, a takie śliczne bańki wydmuchuje.

— Ależ ja umiem, ciociu, ja potrafię, niech cioteczka patrzy.

I znowu wydmuchała śliczną bańkę.

— To dmuchajże sama — rzekła ciocia, bo ja prosiłam Magdusi, żeby mi zaszyła suknię rozdartą, niechże ona wprzód skończy tę robotę.

Ciocia wzięła książkę i zaczęła czytać, a Andzia wydmuchowała śliczne, duże bańki, i tak się tym zabawiała doskonale, że nie wołała już wcale na Magdusię, myślała tylko o swoich bańkach, jakby to wydmuchać dużą, śliczną, kolorową.

Upłynęło tak z pół godziny, dano znać, że obiad na stole, Andzia prosiła, żeby nikt nie zabierał miseczki z mydłem i słomek, bo ona będzie jeszcze i po obiedzie bańki robiła. Potem poszła z ciocią do stołu i obok niej usiadła.

— Cóż, dobra zabawka? — spytała ciocia — jeszcze ci się nie znudziła?

— Śliczna, cioteczko, będę sobie codzień takie bańki dmuchała.

— A wiesz — mówiła ciocia — dla czego ci się to tak podobało?

— Dlaczego, ciotuniu?

— Bo sama przytém coś robisz. Musisz dmuchać ostrożnie, uważać, żeby bańka nie pękła, a to już jest jakaś robota. Gdybyś Magdusię zastawiła do tego, a sama tylko patrzyła, toby ci się prędko uprzykrzyło, tak samo, jak i każda inna zabawa. Wszyscy ludzie na świecie pracują, Pan Bóg do pracy nas stworzył, to też nikt nie może być szczęśliwy i zadowolony, jeżeli nic nie robi.

Małe dzieci nie mogą pracować tak, jak starsi, ale nawet i przy zabawie powinny mieć zawsze jakąś robotę, żeby były zadowolone.

— Jakąż ja mogę mieć robotę przy zabawie, ciociu?

— Dziewczynki doskonale się bawią lalkami, ale wtemczas tylko, gdy je same ubierają i rozbierają; starsze powinny nawet same szyć sukienki swoim lalkom. Można się także ubawić i gospodarstwem, trzeba tylko samęj pomyć i poobcierać naczynka, samęj zrobić balik, a potém posprzątać wszystko porządnie. Już ja ci pokażę, jak to się trzeba bawić, żeby się nie nudzić.

I dobra ciocia po obiedzie nauczyła Andzię robić gospodarstwo z papieru.

— Zamało masz talerzy — rzekła — porządna gospodyni powinna dbać o to, aby mieć jaknajwięcej naczyń na zmianę.

Ciocia wzięła maleńkie, okrągłe pudełeczko od pieczętaczek, kawałek papieru różowego, i tak robiła: otwierała pudełeczko, kładła na niem kawałeczek papieru, potém przyciskała ten papier pokryweczką. Gdy drugi raz pudełeczko otworzyła, i papier odjęła, miała już talerzyk gotowy, trzeba było tylko obciąć go równiutko dokoła nożyczkami. Czytelnicy nasi mogą sami spróbować, a zobaczą, jak to się robi.

Andzi bardzo się to podobało, zostawiła bańki mydlane na później, a sporządziła sobie dwa tuziny talerzyków, jeden tuzin różowych, drugi niebieskich. Przez cały ten czas nie wołała ani razu Magdusi, bo poznała, że daleko przyjemniej robić coś samęj, aniżeli przypatrywać się tylko cudzej robocie.

Ciocia kupiła Andzi parę pudełek z takimi ładnymi zabawkami, co to w nich zawsze jest jakaś robota: to układanie patyczków, to wycinanie figurek, to wyszywanie. Dziewczynka nauczyła się bawić sama temi wszystkiemi rzeczami, nie dokuczała już nikomu w domu i nie nudziła się nigdy.

## MAMA WSZYSTKO UMIE.

Kazio miał ledwie trzy lata,  
Gdy widział skoczka na linie;  
Taki lekki, prawie lata,  
W górę uleciał i ginie!  
Kazio patrzy zachwycony,  
Czy znowu na linę trafi?  
— Już co tego — rzekł zdumiony  
— Nie wiem czy mama potrafi!  
(Mama jest wzorem cnót i odwagi).  
Toż samo Matyńka mała,  
Szła ze szklanką bez uwagi,  
I ta jej z rąk wyleciała...  
Wołano; — Rzecz niesłychana,  
Zawsze jakąś psotę sprawi.  
Na to ona nie zmieszana:  
— Mama to zaraz naprawi.

Gabryela Puzymina.



## Michałek, sprawca wypadku.

Pewna jestem, że Michałek, czytając opis wypadku i swoich czynów, nie przynoszących mu zaszczytu, poprawi się z wad, które mogą mu szkodzić w przyszłości. Wiem, że czytelnicy będą oburzeni sprawkami Michałka i przerażeni następstwami nieuwagi i uniesienia bezmyślnego.

Michałek jest skory do gniewu, niech tylko kto mu się sprzeciwi, złość go zaraz ogarnia, zdaje się, że rozum traci, rzuca się, krzyczy, co ma w ręku ciska, nie zważając w co, lub w kogo trafi. Do nauki nie ma chęci, ale brzydkich wyrazów prędko się nauczył od uliczników i pomimo kar odbieranych, lubi je powtarzać; dosyć powiedzieć, że psoty jego nie mają końca.

Kto rozlał atrament? Michaś? Kto zepsuł zabawki siostrze małej? Michaś. Kto uderzył siostrę? Michaś!

Pewnego wieczera cała rodzina siedziała przy stole, dzieci jedne czytały, drugie się bawiły, Michałek, za pokutę, później od innych sam jadł obiad, a gdy krajał mięso, Kazja siostrzyczka zaczęła się o coś z nim sprzezać. Michaś, nie wiele myśląc, rzucił nóż w siostrę, trafił w lampę, która rozbiła się na kawałki, a jeden kawałek uderzył w twarz Kazię. Nafta rozlała się na stół i ogień objął wszystkie rzeczy, leżące na stole, na drugiej siostrzyczce zapalił się kaftanik. Przytomna matka w tej chwili okryła dziewczynkę chustką i ogień ugasiła, jednak rączka się oparzyła. Na stole ogień piaskiem ugaszono. Oto są straszne skutki gniewu i nierozwagi; jedna siostra mogła zostać kaleką, bo cząsteczkę szkła niedaleko od oka ją uderzyła, druga mogła się spalić, gdyby nie było prędkiego ratunku. Wiadomo, jak częste bywają wypadki z nieostrożnego obchodzenia się z lampami.

Bóg zachował tę rodzinę od nieszczęścia, ale przerażenia wszystkich obecnych trudno opisać; Michaś zbladł, zaledwie mógł się utrzymać na nogach. Oby ten wypadek poprawił i jego, i wszystkich podobnych mu zbytników.

## Przygody nieposłusznej Adelci,

TEÓMACZYŹA Z ANGIELSKIEGO L. F.

(Dalszy ciąg).

Wesoły wybuch śmiechu w ogrodzie zwrócił jej uwagę i pobiegła do okna. Przy bramie, naprzeciw domu, jasnowłose dzieci bawiły się piłką. Adelcia odwróciła się, tupnąwszy niecierpliwie nóżką. Była teraz bardzo rada, że nie prosiła mamy o pozwolenie pójścia do ogrodu, czyżby mogła bawić się z innymi dziećmi, podczas gdy tamte były tak blisko? Oprócz tego wstydziała się teraz tej dziewczynki i przypomniała sobie, z jaką powagą jej powiedziała „Mama nie pozwala nam bawić się z dziećmi nieznanymi”. Chciała jednak przyrzedzić im się i powróciła do okna. Dzieci stały, rzucając piłką. Jak ślicznie wyglądała ta zabawa. Ale dziś jest ich czwo-

ro, bawi się z nimi jeszcze jakaś dziewczynka. Co to znaczy? Adelci się zdaje, że zna tę dziewczynkę, że poznaje jej ciemne włoski, kapelusik i sukienkę?

Czy to być może? czy to podobna? Tak, to Kostusia, grzeczna i posłuszna Kostusia bawi się z jasnowłosemi dziećmi.

— Jak ona mogła zrobić coś podobnego? Pewno prosiła, żeby się z nią bawiły; jak to niegrzecznie — zawołała Adelcia, zapominając o własnem nieposłuszeństwie, i zbiegła ze schodów.

— Mamo, mamo! — zawołała, spostrzegłszy mamę, rozmawiającą jeszcze z kimś w sieni — zatrzymaj się mamuniu, chcę ci coś powiedzieć, proszę cię, pójdz na górę, tylko na chwileczkę.

— A to poco — zapytała mama z uśmiechem, wracając jednakże.

Adelcia pościęgnęła ją do okna.

— Niech mama patrzy! — zawołała, wskazując na ogród.

Ale zamiast zdumienia i gniewu, które Adelcia spodziewała się urzeć na twarzy matki, zobaczyła tylko szczególny jakiś uśmiech.

— Nie widzę nic dziwnego, moje dziecko — rzekła rozglądając się po ogrodzie.

— Jakto? niech mama tylko spojrzy na Kostusie, czy mama nie widzi, jaka ona nieposłuszna?

— Tak jak ty, wszak to chciałaś powiedzieć?

Adelcia spuściła głowę.

— Zapomniałam — szepnęła.

— Ale mylisz się — ciągnęła mama — Kostusia nie jest nieposłuszną. Nie pozwoliłam wam bawić się z nieznanymi dziećmi, a te znam bardzo dobrze.

— Jakto, mamo! — wykrzyknęła Adelcia — znasz je, znasz te dzieci z piłką?

— Tak, Adelciu — rzekła mama, kładąc rękę na jej ramieniu — znam je. Te „dzieci z piłką” jak je nazywasz, są to właśnie dzieci państwa D.

## ROZDZIAŁ IV.

Widok Adelci w tej chwili byłby każdego pobudził do śmiechu. Na twarzyczce jej malowały się najróżnorodniejsze uczucia; zakłopotanie, radość, zdziwienie, niezadowolenie przebijały się na niej kolejno. Zarzuciła mamę pytaniami, na które jednak nie otrzymała odpowiedzi, bo ojciec przyszedł przypomnieć, że pani D. czekała w powozie, mama ucałowała więc tylko Adelcię, pozwoliła jej pójść do ogrodu, bawić się z siostrzyczką i pośpieszyła na dół. Sądziła bowiem, że dziewczynka dość już była ukaraną utratą zabawy z ulubionymi dziećmi i nie chciała skazywać jej na spędzenie reszty pięknego dnia w pokoju.

Ale wina zawsze za sobą karę przynosi; każdy, kto coś złego uczyni, musi pokutować, to też choć mama przebaczyła Adelci, dziewczynka została jednak ukaraną, jak na to zasługiwała.

Wyjrzała oknem, aby zobaczyć odjeżdżający powóz i zaczerwieniła się, urzawszy rodziców i panią D. rozmawiających i śmiejących się wesoło, była pewna, że mówi o niej.

— Mój Boże, co ja też to dziś nabroiłam! — pomyślała sobie dziewczynka, i zasmuciła się bardzo. Powóz przejechał właśnie koło ogrodu i Adelcia zobaczyła, że chłopcy kłaniali się a mała dziewczynka i Kostusia przesyłały paniom pocałunki.

(d. c. n.)

### Łamigłówka głoskowa.

(Od Firlutki dla Aurykli).

Azalea — Przytulnia — Stokrotka — Fuksya — Tomilek — Lilia — Kalina. — Z każdego z tych wyrazów wybrać jedną literę, i utworzyć pseudonym jednej z korespondentek „Wieczorów”.

### ROZWIĄZANIE DO N-ru 2-go.

#### Zagadki:

Ogon.

### Skrzynka do listów.

Staś ze Szczekocin wybornie odgadł łamigłówkę i zapewne sam był wdzięczny Mamie, że mu w tym dopomódz nie chciała; prawdziwa to bowiem przyjemność samemu sobie dać radę z trudnościami i w końcu je pokonać. Nieprawdaż?

Tulipanowi dziękujemy za pamięć; zagadki wydrukujemy, jeśli się okażą bez omyłek.

**Pszczółka litowska** bardzo w porę przysłała 5 rs. dla ubogich dzieci; właśnie w tym czasie biedne dziecko utraciło w sposób okropny rodziców, którzy zginęli wśród pożaru, to też dar dobrej Pszczółeczki oddaliśmy temu dziecku, które ją serdecznie błogosławi. Najchętniej zaliczamy kochaną Pszczółkę do stałych korespondentek, bo taką ładną kaligrafią pisze, że przyjemnie liściki jej odczytywać. Na zadanie konkursowe nikt jeszcze oprócz Pszczółki nie nadesłał odpowiedzi, lecz wkrótce się zapewne posypią i duże nagród trzeba będzie rozdać; ale mamy ich dosyć w pogotowiu, nie zabraknie dla nikogo.

**Maryi, Jadwidze i Annie S.** dziękujemy za uprzejmy liścik i za hojny dar 3 rs; oddaliśmy je nieszczęśliwej sierotce, której rodzice zginęli w czasie pożaru.

**Zorza** nadesłała parę łamigłówek, które jednak nie są według prawideł ułożone, gdyż końcowe litery żadnego znaczenia nie mają. Takie łamigłówki łatwo układać, ale też nie warto ich drukować. Dobrze to bardzo, że kochana Zorza zawsze mówi, co czuje i myśli, radzimy jej przez całe życie trzymać się tej zasady. Na zapytanie, czy przydadzą się na co przesłane rękopisy, odpowiemy otwarcie, że nam na nic przydać się nie mogą, gdyż w Piśmie naszym za mało jest miejsca na drukowanie podobnych wypracowań; zamieszczamy tylko najlepsze odpowiedzi na zadania konkursowe. Nie powinna Zorza się tym zrażać, dwa dni pracy, to wcale nie dużo; autorki, których utwory dziś pożytek przynoszą czytelnikom, nie parę dni, lecz długie lata pracowały, zanim drukować zaczęto ich pisma.

**Janince S. przy ulicy Mokotowskiej** donosimy, że całą powieść „Brat i siostra” można dostać w naszej redakcyi; oddzielnych arkuszy już zabrakło. Łamigłówka trafnie odgadnięta.

**Antylopie** dziękujemy za szarady, bardzo dobrze są ułożone. Antylopa należy widocznie do domyślniejszych osóbek, bo nie wszystkie czytelniczki odgadły od razu „Reginkę” w doktorowej Ż. i zapytywano nas ciągle, czemu autorka nie pisze dalszego cią-

gu pierwszej powieści, jak obiecała. Nietylko też kochanej Antylopie, lecz podobno wszystkim czytelnikom „Prawdziwe bogactwo” się podobało, co nas niezmiernie cieszy, a zapewne i szanownej autorce przyjemność sprawia.

**Pokrzywa** jest zapewne nową prenumeratorką, witamy ją serdecznie w gronie miłych korespondentek, pomimo odstraszącego pseudonimu; musi to być Pokrzywa nieparząca. Łamigłówka trafnie odgadnięta, ale zgłoska *me* nie była zbyt uczynną, gdyż imię jest Emeryk, nie Eryk.

**Muszelka z nad Pilicy** kilka lat zbierała się na napisanie liściku, zawsze jednak „lepiej późno jak nigdy” i mamy nadzieję, że teraz już częściej będzie pisywała. Łamigłówki są dobre, prosiemy tylko o cierpliwość, bo mamy wielkie mnóstwo wcześniej nadesłanych.

**Czajka z nad Bystrzycy** musi być wielką ciekawską. Pseudonymy służą właśnie do tego, aby prawdziwe nazwiska nie były drukowane. Wprowadziliśmy ten zwyczaj z powodu zadań konkursowych, gdyż młodzież nie powinna się ubiegać o sławę autorską; kto pozyska nagrodę i widzi pracę swoją drukowaną, ma już w tym dostateczną przyjemność, nie potrzebuje głosić swojego nazwiska. Skromność jest najpiękniejszą zaletą młodzieży. Zagadki są dobre, później troszkę będą drukowane.

**Litwinka**, która nadesłała odpowiedź na zadanie konkursowe, musi sobie wybrać inny pseudonym, lub dodać doń jakiś przymiotnik, bo mamy już jedną korespondentkę Litwinkę. Dawno już wprawdzie nie pisała, lecz nie zapomnieliśmy o niej i mamy nadzieję, że się kiedyś odezwie.

**Bez podpisu** nadesłano nam wierszyk pod tyt: „Józia ukarana”, który jednak nie może być drukowany.

**Świtezianka** niesłusznie sądzi, że będzie wygderana za swój liścik serdeczny i pocziwy. Dla wszystkich teraz czasy są ciężkie, a chociaż powinniśmy się zgadzać z wolą Bożą, trudno jest czasem się nie poskarżyć. Wzruszyło nas bardzo przywiązanie kochanej Świtezianki do Pisemka, które przekłada nad nową sukienkę. My też starać się będziemy, aby nie żałowała tego postanowienia i zawsze „Wieczory” z równym zajęciem czytała. A teraz radzibyśmy Świteziance odpowiedzieć szczegółowo na wszystkie jej pytania; już raz kochana Świtezianka narzekała na nas, że jej nie dajemy żądanych objaśnień. Ale bo też często zapytuje nas o takie książki, których z trudem wielkim szukamy wszędzie i znaleźć nie możemy. Oto i teraz np. w żadnej księgarni nie wiedzają o atlasie lub geografii pod tym tytułem. Może to atlas historyi naturalnej, który niedawno wychodzić zaczął zeszytami? Całej nauki przyrody, opracowanej dla młodzieży, także niema w handlu księgarskim, ani książki, traktującej o farbiarstwie domowym. Co do słownika, można mieć mały za 2 rs. (przesyłka 40 kop.) ale czy będzie dobry, ręczyć nie możemy. Lepszy kosztuje rs. 15. Cóż my na to poradzimy, Świtezianko kochana?

### OGŁOSZENIA.

#### PAMIĘTNIK FIZYOGRAFICZNY.

Tom V za rok 1885.

opuścił prasę, stanowi duży tom formatu wielkiej ósemki, złożony z około 30 arkuszy druku i ilustrowany przeszło 20 tablicami litograficznymi, w części kolorowanymi.

Cena rs. 7 kop. 50.

Henryk Struwe.

ESTETYKA BARW.

Zasady upodobania w barwach i ich zastosowanie do stroju, sztuk pięknych i wychowania estetycznego.